

Stanisław Sławiecki

Księżniczka

Idylla.

8

— To świetnie, zjemy razem kolację.
 — Daruj, ale nie mogę.
 — Dlaczego? Nie! Ty dzisiaj jesteś jakiś dziwny!
 — Nie, nie mogę! — wybuchnął Adam.
 — Co... co? — zaniepokoił się Jaś.
 — Dobranoc! — rzucił zdziwionemu i szybko się oddalił.

Gotwicki stał chwilę w miejscu, wpatrzony w odchodzącego i mruknął do siebie.

— Czyżby i on?...
 Czuł, że zaczyna mu się mącić w głowie.

Adam tymczasem szybkim krokiem zmierzał wprost do swego mieszkania. Chciał być sam, koniecznie sam. Każdy głos ludzki sprawiał mu niewypowiedzianą przykrość, każdy przechodzień wydawał mu się wrogiem. Szedł, jak ociemniały, potrącany, potrącając wzajemnie przechodzących.

Przestał dla niego w tej chwili istnieć świat cały. Jakiś niepokój zakradł mu się pod czaszkę i wciskał się w mózg, coraz głębiej i głębiej. Uczuł dziwnie przejmujący ból głowy. Nie myślał, a raczej wśród nawału tłoczących się myśli nie mógł uchwycić żadnego wątku.

Szybko wbiegł po schodach na trzecie piętro, wszedł do swego pokoju i zamknąwszy drzwi na klucz, rzucił się na krzesło.

Teraz dopiero w otaczającej go ciszy zaczął się zastanawiać nad otrzymaną wiadomością.

Więc ona była przyczyną jego śmierci? Ona go zawiodła tą śliską drogą nad tę przepaść, która pochłonęła jego młode życie.

On znał tę drogę.

I zaczął sobie przypominać po kolei jej niedomówione zdania, uśmiechy... Te jej uściski, pocałunki.

On całował jej cudne usta, a tamten... Nie skalała się... więc widocznie miłość dała mu ją w ramiona, miłość prawdziwa, gorąca.

Tak, tak być musi — jego nie kochała, więc skądże mu miała oddawać swe usta — czyż każdy chwilowy adorator, przybłąda, ma mieć do tego szczęścia prawo, pretensje nawet?

Jak miała zresztą pozbyć się natręta, grubianina?

Jak można było wogóle do tego stopnia się zapomnieć, to przecież prostactwo. Odezwała się w niej gorąca krew i... dała mu nauczki... a że on popełnił szaleństwo, któż może za to odpowiadać?

W każdym razie nie ona.

Biedactwo, jakżeż musiało być jej przykro... może płakała...

Pewnie do tego nie miał zamiaru naprawdę się strzelać — chciał ją pewnie przestraszyć, wzruszyć, wyrzucić moralną presję... a fanfaronada skończyła się smutno. Sam sobie winien!

Lecz przecież! — odezwał się głos zwątpienia.

Co, przecież?

Przecież jednak musiała go upoważnić do wyznania, dawać mu nadzieję. Może takie same otrzymywał spojrzenia... te smutne, tęskne spojrzenia... te same, co ty...

A te uściski, pocałunki?...

Ot znudziły ją już tylko czule szept, nerwy zapragnęły żywszej podniety, zmysły większych wrażeń... może zauważyła, żeś oporniejszy, że trzeba silniejszych środków. Rezultat, że się kochasz w niej jak tamten, a ją to bawi...

Ale koniec?...

Adamowi zrobiło się ciemno. Wstał z krzesła i zamknął okno. Noc już była. Nie myślał nawet o śnie, wiedział, że taka próba byłaby tylko prózną męką.

Usiadł z powrotem i poddał się prześladowającym go myślom. Nocna cisza zaczęła go denerwować.

Uciec stąd, uciec... daleko, daleko...

Wziął kapelusz, płaszcz i wyszedł na ulicę. Wlókł się bez celu z ulicy w ulicę, rzadko tylko spotykając jakiego późniejszego mieszkańca. Całe miasto tonęło w półmroku i ciszy. Nagle, skręciwszy w inną ulicę, posłyszał wesoły gwar rozmowy jakiegoś większego towarzystwa. Słychać było nieustanny brzęk szkła i naczyń stołowych. Co chwilę rozlegały się swobodne śmiechy.

Bawiono się gdzieś.

Już miał minąć ten dom szczęśliwy, gdy mimowoli spojrzął na tabliczkę domu. Stał zdumiony. Bezmyślnie błędząc przyszedł pod dom Zbylitowskich. Całe pierwsze piętro było jasno oświetlone, jedno

z okien było otwarte i przez nie właśnie dobywał się gwar na ulicę.

Przyjechali już! — przemknęła mu myśl. — Trzeba się iść przywitać.

Wyczekiwany gość! Ha! ha! — zadrwił stary kpiarz, rozsądek.

Szkoda — myślał Adam, niezbity z tropu — że Zygmunt zdał już egzamin, byłaby sposobność.

A tak! Trzeba stać pod oknami — drwił ten sam głos.

Nie szkodzi! — szeptał do siebie Adam, opanowany wzruszeniem, zdawało mu się bowiem, że posłyszał jej srebrny śmiech.

Tak! to jej głos... Liluski!... Liluska...

Czy ty odczuwasz, że ja tu stoję jak nędzarz pod twymi oknami.

Tak... może ci rzuci jałmużnę.

Dla ciebie wszystko wycierpię... kochana... droga. A ona bawiła się snąc doskonale, bo raz za razem słysząc było jej dźwięczny śmiech.

W pewnej chwili uczynił się duży rumor, widocznie wstawano od stołu. Otwarto drugie okno, w przyległej do jadalni ubikacji i gwar jeszcze żywszy zaległ uśpioną ulicę.

Adam drżał cały. Odżyły w nim wspomnienia wszystkich przeżytych w towarzystwie Lili, cudnych chwil. Ukrył się w ciemnym załomie murów kamiennych naprzeciw okien i stał w nie wpatrzony, szczęśliwy, że jest w pobliżu tej, co jest radością jego życia, szczęściem... że posłyszysz ten głos, który dla niego jest rajską melodią, rozkoszą. Tylko... po co ona się tak śmieje wesoło?... tak swobodnie, jakby jej nic nie leżało na sercu, nic nie dolegało?

Dlaczego śmieje się tak często, skoro jego tam nie ma i być nie może; gorzej jeszcze, nie będzie mógł tam być nigdy, nigdy... chyba jako... guwerner.

To straszne.

A ona... ona.

Zadnej nie mógł znaleźć na to odpowiedzi. Ona nie powiedziała mu nic właściwie... ona nie może przecież... rodzina! — starał się ją usprawiedliwiać.

Chyba ją porwać... i napisać balladę — zadrwiło coś.

A on stał w cieniu znękany i smutny, bezsilny. Łzy mu się tłoczyły do oczu i spływały swobodnie po jego bladej twarzy. Do ust mu się wkładały i goryczą swą poły.

W pewnej chwili uczyniło się zupełnie cicho, tylko gdzieś z oddalonej wieży zegar nocną wydzwaniał godzinę.

Drgnęły powietrzne fale i przyniosły w jego stęsknionym uszy ciche dźwięki fortepianu, a w ślad za nim pieszczotliwą piosenkę, jej cudnym nuconą głosem. Płynęły ciche, tęskne słowa, przez otwarte okna w przestwór nocy:

Proszę śnieżek i proszę płatkami,
 Smutno młodym jest w duszy, gdy sami...

Adam stał zatopiony w tę nocną muzykę, wzrok w oświetlone utkwivszy okna. Jego szeroko rozwarte źrenice śledziły spadające cicho setki błyszczących światłem płatków, a w uszach mu drżały tęskne słowa co dopiero przebrzmiały melodi:

Smutno młodym jest w duszy, gdy sami...

II.

Szybkim krokiem zbliżała się zima. Dnie stały się krótkie i smutne. Drzewa огоłocone z zieleni, aleje ogrodowe zasypane stosami pożółkłych liści. W takie dnie Adam chętnie zamykał się w domu i żył swoimi myślami. Nieraz wydobywszy z ukrycia, z wielkim trudem nabytą od fotografa, podobiznę Lili, stawiał ją na stoliku i wpatrywał się w nią godzinami.

Kochał ją coraz silniej, coraz namiętniej, bez pa-mięci.

Im bardziej w przeszłość mglistą usuwały się te niezapomniane chwile pobytu w Zbylitowie, tem większa trawiła go gorączka, pragnienie ich powtórzenia. Chwilami chciał biedzić do niej, wpaść do jej pokoju przemocą, to znowu myślał do niej napisać list, przesłać jej kwiaty.

Często teraz przechodził wieczorami koło jej okien, ale nigdy jej nie mógł zobaczyć. O pracy przestał myśleć zupełnie, nie mógł pracować, to było uad jego siły. Wypijał za to całe masy czarnej kawy, palił ogromną ilość papierosów i pisał, pisał bez końca.

Pisał dramaty, powieści, poezye...

Pisał o niej i do niej, wszędzie, na każdej prawie kartce papieru było wypisane jej imię.

Ileż razy czynił wyznania miłosne, siedząc naprzeciw jej podobizny! Ile razy jego usta spalone pragnieniem szeptały: kocham, kocham... nad szczęście me, nad życie...

Daremnie próbowali go koledzy zabawić, dowie-

dzieć się co mu dolega, wybadać go. Zbywał ich krótko, wogóle rozmawiał teraz niechętnie. Domyślnie tylko starali wyjaśnić sobie te niezwykle zmiany zaszłe w usposobieniu Adama; między innymi powodami wymieniali Lili. Ale to nie było nic pewnego, nikt nie mógł twierdzić.

Adam powoli zaczął nie tylko zaniedbywać się w swych pracach, opuszczał coraz częściej lekcje, stał się niepunktualnym, niecierpliwym, nerwowym. Skutkiem tego coraz częściej zdarzały mu się utarczki z uczniami, potem z rodzicami tychże, aż doszło do tego, że został bez zajęcia, bez grosza. Zaoszczędzone resztki mogły mu wystarczyć na dni kilkanaście.

A potem?

Ale to nie zdawało się na niego działać. Zyl dalej po dawnemu. Codziennie zaraz po południu zasiadał przy swym stoliku, w ulubionym kącie kawiarni i wypijał po kilka filiżanek czarnej kawy.

Siedział, zawsze w jeden punkt wpatrzony, na nikogo nie zwracając uwagi. Wzrok błądził codziennie temi samymi drogami, wśród drzew plantacyi i zatrzymywał się na murach kościoła św. Anny, piał się po jego zielonym dachu, na kopułę się dra-pał i znowu wracał z powrotem.

Coraz częściej odczuwał brak sił, ból głowy; kaszel nie ustawał ani na chwilę. Jaś Gotwicki chciał się nim zaopiekować, wywieźć do siebie na wieś, ale Adam nie przyjął zaproszenia. Próżno go namawiał codziennie, widząc gwałtowne zmiany na gorsze w jego zdrowiu. Dla niego przychodził do tej samej kawiarni i siedział obok niego nic nie mówiąc, tylko z nieukrywaniem patrząc przerażeniem na cień dawnego kolegi. Niejednokrotnie wyrzucał sobie, że on jest powodem nieszczęścia. On go przecież wysłał do Zbylitowskich.

— Słuchaj Adasiu — mówił cicho, głosząc go po ramieniu — możebyś przecież zdecydował się, jadać pojutrze na wieś.

— Daj spokój, wiesz, że się nie ruszę.

— Mój kochany, nie bądź dziecinny, na tydzień tylko, wypoczniesz, opamiętasz się, zapomnisz.

Adam zrobił ruch zniecierpliwienia.

Gotwicki zrezygnowany milcząc, zamyślił się.

Wtem Adam gwałtownie podniósł się od stołu, a z jego piersi wydobyło się coś w rodzaju skomlenia batożonego psa. Jaś zdrętwiał, bał się czegoś dziwnie.

Ulicą jechał powóz, a w nim Lili z kuzynem. Adam uczynił ruch jakby się chciał kłaniać, jakby się chciał rzucić ku powozowi. Lili obojętnie zwróciła głowę w tę stronę. Adam zdjął z głowy kape-lusz. Jej wzrok prześlizgnął się obojętnie po jego twarzy, nie zatrzymawszy się ni chwili. Nie zauważyła go.

Rozpacz go ogarnęła, zbłądził jeszcze gwałtowniej i runął bezsilny w ramiona przyjaciela. Zawołano doróżkę i Gotwicki zawiózł Adama do mieszkania. Ułożył go w łóżku, zawołał doktora.

— Zagrożne płuca, ogólne wycieńczenie, może mieć bardzo poważne następstwa — zawyrokował lekarz. — Potrzebuje przede wszystkim wypoczynku, ciszy, świeżego powietrza.

W chwilę potem Jaś wysłał do swych rodziców list z prośbą o poczynienie przygotowań i usiadł przy łóżku chorego.

Gorączka nie ustępowała, majaczył.

Po kilku dniach czuł się chory znacznie lepiej, wyglądał jednak strasznie. Wychudł, przybladł jeszcze bardziej; skóra robiła wrażenie przeźroczystej. Oczy przygasały, patrzyły obojętnie, bez wyrazu. Ustawicznie tylko skarżył się na zimno. Musiano palić w piecu. Chwilami, gdy czuł się silniejszym, siadał na łóżku i czytał książkę lub dzienniki.

Raz wieczorem, koło piątej, gdy ściemniać się już w pokoju zaczęło, Adam siedząc w łóżku przeglądał popołudniowy dziennik, Jaś zaś obok niego czytał książkę. Za oknami drobniutki śnieżny puszek padał, w piecu zaś drzewo palące się strzelało wesoło.

Adam odezwał się cicho:

— Wiesz, Jaśku, że mi tak jakoś dobrze, cicho.

— Będzie ci całkiem dobrze niedługo, wstaniesz, pojedziemy na wieś.

— Potem inaczej zacznę żyć.

— Jakże to?

— Poważnie. Moja młodość minęła już — rzekł smutnie.

— Ależ daj spokój. Jesteś taki młody.

— Nie, nie... ja już jestem całkiem spokojny i patrzę trzeźwo... minęła moja młodość.

Potem zaczął znowu czytać. Za chwilę rzekł zupełnie spokojnie.

— Jest właśnie wzmianka o ślubie... wiesz... Zbylitowska idzie zamaż... za kuzyna.

Gotwicki zbłądził. Bał się, ażeby ta wiadomość nie sprawiła fatalnego skutku. Ale Adam był nieporuszony.